# TYGODNIK ILLUSTROWANY

№ 37. Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, 28 maja / 9 czerwca 1860.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartal. rs. 3. Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM I.


## TREŚĆ NUMERU.


Grobowiec Śniadeckiéj i posąg Matki Boskiéj, wykonane przez W. Oleszczynskiego (z dwoma drzeworytami). — Kronika tygodniowa. — Wystawa obrazów w Krakowie.— Uliczni handlarze warszawscy (z dwoma drzeworytami). — Obrachunek robocizny (z drzeworytem). — Dwa westchnienia, obrazek przez anonima (dalszy ciąg). — Dąb, poezya.— Rozmaitości.— Korresponcencya od redakcyi.— Kronika sztuk pięknych.—Kościół parafialny w Będkowie (z drzeworytem). — Zadanie konikowe do nagrody.— Rebus.


## GROBOWIEC ŚNIADECKIÉJ I POSĄG MATKI BOSKIÉJ

wykonane przez

**W. GLESZCZYŃSKIEGO.**

Przedmioty sztuk pięknych przestają być obojętnemi publiczności. Wprawdzie interes jaki one budzą nie jest jeszcze dosyć powszechnym; poparcia czynnego, najlepiéj mówiącego o zamiłowaniu u ogółu, dotąd słabe tylko spostrzegać się dają oznaki; z sądem prawdziwie estetycznym i zapatrywaniem się właściwém na sztukę nie często się spotykamy; jednakże, jakkolwiek słabe i małoliczne są te oznaki sympatyi, istnieniu ich zaprzeczyć niepodobna.

Z naszéj strony nie potępiamy bezwzględnie i nie dziwimy się zbytecznie temu małemu dotąd rozwinięciu smaku, temu brakowi popędu ku tak pięknym dążnościom; wiele nieprzyjaznych okoliczności wpływa na to, tamując dobre chęci niejednego z tych, co ochotnie daliby dowód swego współczucia. Zresztą przypuszczamy, że rozwój sztuk pięknych nie leżał dotąd w potrzebach ducha naszego kraju, bo długo nie mieliśmy prawie własnych artystów, lub przynajmniéj liczba ich bardzo była ograniczoną: a w narodzie artyści, podobnie jak poeci, uprzedzają jego ideje, postęp, popędy. Zwrot młodego pokolenia, tak widoczny, do uprawiania sztuk pięknych, pomimo najbardziéj niekorzystnych do tego warunków, zapowiada zbliżanie się czasu, w którym zamiłowanie estetyczne stać się musi powszechném; wierzymy więc, że epoka rozwinięcia i kwitnienia sztuk pięknych u nas nie tak oddalona, jakby to na pozór zdawać się mogło, a równie i temu, że artyści nasi wyrobią u siebie własną szkołę, styl, które są naturalnym wynikiem różnego od innych poczucia i charakteru. Wszak poezya nasza oddawna odróżnia się wybitnemi cechami od poezyi innych narodów, w następstwie więc i pozostałe jéj towarzyszki zdobyć sobie muszą odrębną charakterystykę, która będzie odbiciem odmiennego duchowego udoskonalenia.

Nie smucąc się przeto zbytecznie dotychczasowemi niepowodzeniami pracowników na polu artystyczném, staraniem ludzi dobréj woli powinno być podejmowanie wszelkich możliwych starań, dla zachęcenia ogółu ku szlachetnemu zamiłowaniu sztuki, a razem ku kształceniu i wyrabianiu pojęć w jéj dziedzinie, bacząc by piérwsze zaraz kroki i postępy w téj mierze były po dobréj drodze kierowane, by publiczność nasza od początku dopatrywać i szukać mogła i chciała piękna tam, gdzie go właściwie szukać należy, aby zatém rzeczy wzniosłe myślą a piękne formą uznanie i poparcie znajdowały. Naród nasz, z ducha religijny, poważny, łatwo zapalający się do wszystkiego co prawdziwie wielkie, musi zwrócić się sercem do przedmiotów sztuki tych właśnie, których treścią będą przymioty jemu właściwe: więc ukocha religijność, powagę, wzniosłe czyny lub wielkie ideje; a tém łatwiéj to nastąpi, gdy rzeczy te, z natury swéj wymagające skończonego piękna w pojęciu, wyrażane téż będą formą skończoną, estetyczną. Dlatego artyści zrażać się nie powinni pozorną oziębłością ogółu do obrazów lub rzeźb takiéj właśnie treści, ani schlebiać zbytecznie chwilowemu zasmakowaniu w *rodzajowości* (genre); przeciwnie usiłowaniem ich niech będzie głębokie przejęcie się potrzebą i d e a l n e g o piękna i wyrażania go w swych dziełach, by odkryć nieznane powaby i piękności tym, którzy ich wprzódy ani szukać, ani znaleźć nie mogli lub nie umieli. Objawy zamiłowania jakie się dają spostrzegać do rodzajowości, uważamy za przechodnie, krótkotrwałe, bo kraj nasz ma za dużo dobrych instynktów, by prędzéj lub późniéj nie uznał podrzędnego znaczenia jakie ona w sztuce zajmuje i nie uczcił tego, co ma znamiona wyższości i prawo do istotnéj, trwałéj wartości.

GROBOWIEC ŚNIADECKIÉJ.
Rytował G. Röber w drzeworytni Tygodnika.

Że rodzajowość jest chwilową, czasową, najwyraźniéj to czuć się daje w rzeźbie, któréj ona najmniéj przystoi, do któréj się najmniéj nakłania. Pomnik, rzecz co nam z natury swéj nasuwa myśl przetrwania czasów i burz przemiennych, musi nosić na sobie charakter długotrwały, nie przechodni, więc bezwzględnego, wiekuistego piękna, które się stroną jego duchową wyraża. To téż niesmacznemi nam się wydają wszelkie rzeźby, gdzie starano się odstępować od takiego pojęcia, gdzie zewnętrznemi cechami chciano nadać posągom charakter niby jakiś narodowy, miejscowy; dlatego uważamy za niewłaściwość sprzeczną z naturą sztuki i zdrabniającą jéj znaczenie, wszelkich *aniołów w kontuszach*, mazurów lub krakowiaków na pomniki stawianych. Że uwydatnienie właściwe narodowości nie leży w kostiumie lub podgolonéj czuprynie, lecz w głębiéj sięgających cechach, dość na dowód przytoczyć Byrona, który wnikając w duch posągu, odgadł w *Szlifierzu* starożytnym, w *Gladyatorze umierającym*, Słowian, pomimo że o tém ich pochodzeniu nie mówią żadne symbole.

Powyższe ogólne uwagi nasunęły nam się pod pióro, z powodu iż mając mówić o dziełach których rysunki podajemy czytelnikom, chcieliśmy poprzednio dać ogółowy rys naszego

poglądu na sztukę. Nie zdaje się nam to być zbytecznem, mając na uwadze różnorodność zapatrywania się i dość widoczny brak jasności pojęć pod tym względem.

Prace o których mówić chcemy, zaliczyć można do najcelniejszych jakie się u nas w zakresie rzeźby znajdują. P. Oleszczyński, autor ich, przepędziwszy większą część życia pośród arcydzieł mistrzów prawdziwych, umiał patrzéć na nie i dostatecznie przejąć się pięknością w sztuce, by wpływ dobrego stylu i szkoły w dziełach jego się odbiły. To samo już zaleca bardzo jego kompozycye.

Pomnik, przeznaczony na grób pani Śniadeckiéj, składa się z jednéj tylko figury, anioła, który jako posłannik wymierzający najwyższą sprawiedliwość, zstępuje na grób zmarłéj, by uczcić uznane zasługi jéj żywota chrześciańsko-obywatelskich cnót pełnego, i rzuca na wpół wysuniętą trumnę (która znajdować się będzie niżéj stóp jego), wieniec nieśmiertelników, niewiędnących nigdy kwiatów, aby świadczyły na ziemi o wysokich cnotach téj wzorowej kobiéty, aby pamięć jéj przykładem budującym dla przyszłości została. Prawą ręką wskazuje po za siebie na krzyż, który i nad grobem roztacza opiekuńczo ramiona swoje, wtedy gdy przez ciąg życia całego był on dla zmarłéj godłem, podporą i ucieczką w cierpieniu. Tu na ziemi pamięci jéj cześć przynosi, tam, w kraju zaziemskim, nagrodę wieczną.

Myśl cała tłumaczy się jasno, wyraźnie; co właśnie wpływa na sympatyczne wrażenie jakie sprawia całość. Samo wykonanie i obrobienie jest również jak kompozycya z pojęciem wyższém, artystyczném dopełnione. Ruch figury szczęśliwy, z poważną godnością, jak tego akcya i chwila wymaga, a jednak z lekkością odpowiadającą postaci anioła oddany; draperye ślicznie zarzucone, w sumiennem opracowaniu i obmyśleniu, nie zakrywając ogólnego poruszenia, dają piękne linie; podniesiona prawa ręka jest wybornego rysunku i wymodelowania doskonale zrozumianego; nawet skrzydła dziwnéj lekkości i prawdy.

Jednéj rzeczy tylko przychodzi nam żałować: tego, że pomnik ten, który dotąd jest w gipsie, ma być odlany z bronzu. Nie wiemy jakie powody skłaniają właścicieli do takiego postanowienia, lecz wiele to ująć musi piękności jego dzisiejszéj. Tylko marmur, ze swoją przezroczystą białością, wyrazić może i podnieść efekt ogólny; marmurowa białość, tak zgodna z pojęciem anielskości, jedynie uwydatnić zdoła powiewną godność, z jaką stawa na ziemi niebieski zesłaniec.

Pomnik ten ma być postawionym w okolicach Wilna, w majętności do rodziny Śniadeckich należącéj. Powinszować musimy tamtym stronom tak pięknego nabytku.

Drugi posąg, którego tu również rysunek dajemy (ob. str. 336), umieszczony został niedawno w kaplicy gotyckiéj kościoła oo. kapucynów w Lublinie. Wdzięczność należy się zasłużonemu ojcu Prokopowi, prowincyałowi tegoż zgromadzenia, za trudy jakich dokładał w dokonaniu tego rzeczywistego upiększenia kościoła; za jego to bowiem staraniem stanęła piękna kaplica w stylu gotyckim, któréj ołtarz zdobią głównie figura Najświętszéj Panny w kamieniu wykuta i cztéry płaskorzeźby, również w kamieniu, przedstawiające: 1) obywateli Lublina, oddających miasto pod opiekę królowéj Niebieskiéj; 2) nawrócenie łotra ukrzyżowanego z Chrystusem; 3) Magdalenę pokutującą i 4) syna marnotrawnego powracającego na łono ojca. Przedmioty odpowiednio wybrane dla miejsca pod wezwaniem miłosierdzia Boskiego, nieustającego zawsze dla tych, którzy pociechy i przebaczenia szukają.

Sama postać Najświętszéj Panny, wznosząca się ponad temi płaskorzeźbami, pełna jest wyrazu czystéj boskości i niebiańskiego wdzięku. Trzyma Ona w ręku serce gorejące, jako symbol niewyczerpanéj miłości i miłosierdzia, źródła do którego wiecznie wszystkie pragnące osłody serca ludzkie nie przestają zwracać się — a które Ona, Dziewica, dla szczérze ją miłujących gotowa otworzyć, by w niém jedyną ulgę i spokój po cierpieniach żywota znaleźli.

Ze stanowiska artystycznego patrząc na tę figurę, przyznać trzeba niemałą zasługę p. Oleszczyńskiemu, że umiał wyjść szczęśliwie z trudnego zadania, jakie przedstawiało mu się w zastosowaniu natchnienia do wymagań stylu odrębnego gotyckiego.

Potrafił on nadać jéj wysmukłość strzelistą, wymaganą w takim razie, a dosyć przytém miękkości i powabnéj swobody, by nie wpaść w suchość, charakteryzującą w ogóle figury gotyckie, nie odstępując wszakże w ogólnych liniach od cech właściwych stylowi.

Cieszymy się iż starożytny Lublin, zdawna pobożny, jak o tém mówią liczne jego kościoły, i dotąd dbały o chwałę Bożą, umié wybiérać srodki do jéj wyrażania; że wiedząc iż najpiękniejszą, najwymowniejszą ozdobą świątyń Pańskich są rzeczy z ducha, z wyższego natchnienia poczęte, niemi właśnie zdobi przybytki Bogu poświęcone, by dawały świadectwo o rozwinięciu religijności i pobożnego zapału. Daj Boże, by wszędzie dobry ten przykład znalazł odbicie i naśladowanie.

# Kronika tygodniowa.

— Czy słyszałeś Henryka Wieniawskiego?

— No jakże ci się gra Henryka Wieniawskiego podobała?

— Wszak prawda, że sprawozdawcy zagraniczni nic nie przesadzili, i że ten młody nasz ziomek jest obecnie jednym z najznamienitszych skrzypków europejskich?

Oto zapytania które sobie w salonach, a nawet na ulicy, Warszawianie w zeszłym tygodniu zadawali jeden drugiemu. Rzeczywiście gra Henryka Wieniawskiego wielkie tu i głębokie wrażenie na wszystkich wywarła, a można powiedzieć żeśmy go piérwszy raz słyszeli, bo dziecęce jego wystąpienia żadną miarą liczyć się nie mogą.

Zostawiając komu z prawa przynależy bliższe ocenienie wysokiego talentu artysty, zastanowimy się tylko nad dziwnym objawem, który nie po raz piérwszy zdarzyło nam się tu zauważyć. U nas sąd do tyla jeszcze jest niewyrobiony, że nie potrafimy sądzić, nie uciekając się do porównań. I tak na przykład niech napisze co nowego Lenartowicz, zaraz jeden i drugi pyta, czy to piękniejsze od tego lub owego utworu Pola; Syrokomlę porównywają z Deotymą, Zmorskiego z Wolskim, odczyt o astronomii z odczytem o botanice, obraz Kostrzewskiego z obrazem Gersona, nowo budujący się gmach z dawniéj już wybudowanemi, każdego nowo-występującego na scenie autora z uznanym talentem Fredry, nawet kobiétę piękną z inną, która już słynie z wdzięków, i tak daléj i tak daléj. Czyliż my nie potrafimy wyrobić sobie bezwzględnego sądu? Porównanie jest dobre, ale w danych razach tylko, wówczas kiedy oceniamy o ile rzecz pod sąd nasz oddana zbliża się do uznanego już przez nas ideału w sztuce. Bo chociażby ten ideał nie istniał, wyobrażenie o nim leży już w nas samych, w pojęciu piękności i prawdy, które Bóg wlał w nasze serca. Jedno mniéj, drugie więcéj może się zbliżać do takiego ideału, co nie przeszkadza wcale żeby i jedno i drugie nie miało być dobrém i użytecznem. Ale w przeciwnym razie któżby miał się ostać przy geniuszach, jakiż talent poetyczny mógłby tworzyć dzieła po Mickiewiczu i Słowackim, któżby po Rafaelu lub Michale aniele śmiał ująć za pędzel? Dzięki Bogu tak nie jest, zasługa pozostanie zawsze zasługą i talent nie straci w niczém, choćby przed nim i po nim okazały się wyższe talenta. A chroń nas Boże żebyśmy tu w czémkolwiek osobistości czyjéj dotykać się mieli, owszem cieszymy się szczérze, iż kraj nasz posiada obecnie kilka rzeczywistych znakomitości muzykalnych, że nawet w tym względzie śmiało walczyć może o piérwszeństwo z innemi narodami europejskiemi, i nie wątpimy że każdy z tych wybrańców sztuki, temiż samemi ożywion uczuciami, serdeczną sympatyą otacza współziomków, którzy wraz z nim sięgają po tak rzadko dostępną laurową gałązkę. W sercu i współczuciu narodu miejsc jeszcze nie zbraknie, i dla wprowadzenia nowego, dawni nie potrzebują się ścieśniać.

Orkiestra p. Laade rozpoczęła już z wielkiém powodzeniem swoje koncerta, i rozgłos jaki u nas słynnego kapelmistrza drezdeńskiego uprzedził, wcale nie był przesadzonym. Nie osierocieje więc Warszawa na lato po muzyce, owszem na każdym kroku spotykać ją będziemy mogli.

To nam przypomina, że kiedy w gronie reprezentantów tutejszego dziennikarstwa odbyliśmy podróż do Ojcowa, przy wysiadaniu z omnibusa zdybaliśmy się z przedstawicielami literatury krakowskiéj, którzy tam byli już nas uprzedzili.

Po zwykłych przywitaniach, jeden z nich zapytał, oglądając się w koło siebie:

— A gdzież orkiestra?

— Jakto orkiestra? odrzekliśmy zdziwieni.

— A naturalnie, wszakże pojąć nie można żeby Warszawianie ruszali się gdziekolwiek bez orkiestry. Muzyka tak już się wcieliła w was, że stanowi konieczną część waszego życia. Nie ręczę czy który z was nie przyjeżdża tu z zamiarem dawania koncertów, ale śmiało może pozostać przy zamiarze, bo nie będziemy go słuchać, zbyt wiele bowiem mamy tu do widzenia.

I nie omylił się Krakowianin, bo i w Ojcowie nawet znalazło się kilka orkiestr, z których dwie miejscowe, a i na koncercie nie zbrakło, grał bowiem na fortepianie jakiś młodziutki artysta, którego nazwiska zapomniałem. Widocznie to Warszawianie tę atmosferę muzyczną przywieźli tam z sobą.

Konkursa prosperują ciągle.

Jednemu z zasłużonych tutejszych literatów przysłano 4,000 złp. w liście, z przeznaczeniem téj summy, większéj znacznie nad dotychczasowe nagrody, na nowy konkurs, którego warunki bliżéj w liście są oznaczone. Tym razem jednak nie idzie już, jak słyszeliśmy, o pracę dramatyczną, ale o utwór poetycki innego zupełnie rodzaju. Nie jesteśmy upoważnieni ani do oznaczenia bliższych szczegółow, ani do wymienienia nazwiska literata któremu ta summa powierzoną została, a który obecnie nie znajduje się w Warszawie. Zapewne za powrotem swoim, jeżeli przyjmie ten nowy włożony na siebie ciężar, ogłosi on w pismach publicznych warunki konkursu, oraz przedmiot i treść utworów mających się do nagrody przedstawiać; bo sama treść podobno jest już oznaczoną, co podług nas utrudnia bardzo zadanie. Tymczasem cieszmy się tém przekonaniem, że sprawa literatury naszéj znajduje coraz więcéj chętnych do popierania jéj wszelkiemi możliwemi sposobami. Chociażby więc skutek nie odpowiedział w zupełności usiłowaniom, zawsze dobra wola jest bardzo pocieszającym objawem.

Przy téj sposobności przypominamy o konkursie na dramat, którego warunki miały być ogłoszone w Czasie krakowskim. Dotychczas nie czytaliśmy żadnéj o tém wzmianki, a jednak czas już wielki, jeżeli konkurs, jak to pierwotnie było w myśli premiodawcy, ma być rozsądzony przed nowym rokiem.

Scena nasza mężnie walczy nowościami z nieprzyjazną porą roku i nawet często zwycięża. Jednym z takich tryumfów nad przechadzkami, ogródkami i czerwcowém powietrzem odniesionych, była *Jawnuta*, znany poemat Kniaźnina, do którego Moniuszko dorobił muzykę. O poemacie to tylko powiem, że kiedy przed kilkunastu laty, po długiém uśpieniu piśmiennictwa, u nas młodzież napowrót biorąca się do pióra, a sfanatyzowana do utworów szkoły litewskiéj, potępiała bezwzględnie wszystkie objawy tak zwanéj klassycznéj stanisławowskiéj epoki, to wówczas jeszcze *Cyganie* Kniaźnina liczyły się do niewielu wyjątków, które ogólne otaczało uznanie. Taka sprawiedliwość przez najzawziętszych, bo literackich przeciwników oddana, większe ma znaczenie od wszelkich pochwał dzisiejszych.

Moniuszko wybornie utrafił w duch libretta; ta krakowsko-cygańska muzyka, te dwa tak różne żywioły złączone z sobą, wielkie sprawiają wrażenie. Rzecz nie rozmiarami ani zakresem, ale obrobieniem celuje; Jawnuta dla kompozytora naszego jest odpoczynkiem od prac poważniejszych, na które z niecierpliwością czekamy. W teatrze Rozmaitości, zmiana reżyserstwa komedyj, które objął pan Chęciński. Piérwszym owocem tego reżyserstwa jest zapowiedziana w tych dniach komedya akcessitowa *Po naszemu*.

Panna Zawiszanka występowała we Lwowie z wielkiém powodzeniem. Szczęśliwa gwiazda przyświéca młodéj śpiewaczce w jéj wędrówce artystycznéj: Kraków podniósł jéj talent, we Lwowie teraz z niemniejszym przyjmują ją zapałem. Obecnie udaje się podobno do Pesztu. Panna Płodowska bawi w Paryżu i upewnia nas że została angażowaną do opery berlińskiéj, z płacą cztérech tysięcy franków (1,000 rs.) miesięcznie, przez cały czas pobytu w tém mieście królowéj angielskiéj Wiktoryi. Jest to jedném jeszcze stwierdzeniem uznanéj już prawdy, że wszelkie talenta lepiéj za granicą, aniżeli w kraju oceniane bywają. A jednak opera nasza, przez słabość panny Rivoli pozbawiona pierwszorzędnéj śpiewaczki, wielkiby znalazła zasiłek w jednéj z tych artystek. Posiadając pomiędzy rodaczkami naszemi tyle pięknych talentów

do śpiewu, musimy niestety zazdrościć zagranicy, która z nich użytkuje.

Zbliża się czas zjazdu czerwcowego, a z nim programmat różnych zajęć i zabaw, które przez kilkanaście dni jedne po drugich nastąpią. Już rozpoczęto roboty około uporządkowania placu wyścigowego, główne wejście do Saskiego ogrodu odświéża się, a Dobroczynność przygotowywa mnóstwo fantów na loteryą, która, podobnie jak w latach zeszłych, ma nowy fundusz przysporzyć ubogim. Pomiędzy temi fantami widzieliśmy kilka bardzo pięknych i wielkiéj wartości. Około dwudziestego w głównéj sali Dobroczynności ma miéć miejsce przedstawienie teatru amatorskiego, składające się z dwóch sztuk oryginalnych, umyślnie dla teatru Dobroczynności napisanych: komedyjki jednoaktowéj przez hr. Fr. Skarbka p. t. Lekarstwo i dyalogu wierszem p. t. Siła złego na jednego. Urozmaici przytém to przedstawienie część muzyczna, odznaczająca się doborowym programmatem. Komitet teatralny Dobroczynności, zawiązawszy się pod prezydencyą J. I. Kraszewskiego, zamierza kilka razy na rok występować z oryginalnemi i nigdzie jeszcze niegranemi sztukami. Zamówiono już prace u autorów, a ożywiony w tych czasach popęd do literatury dramatycznéj, zdaje się pomyślny rokować skutek dobrym chęciom komitetu. Szczególniéj na to należy zwracać uwagę, że autorowie, wiedząc o tém iż piszą dla amatorów, będą się umieli do tego zastosować; niezawsze bowiem amatorom dobrze jest grać po artystach, i niejedna sztuka pisana wyłącznie dla sceny, niedogodną przedstawiać się może dla teatru amatorskiego.

Zresztą w Warszawie dość głucho i pusto: jedni pojechali, drudzy nie przyjechali jeszcze. Towarzystwa po większéj części rozchwiały się, mało kto przyjmuje, bo i rzeczywiście pora nie po temu. Za to z prowincyi ztąd i z owąd donoszą o różnych przyjęciach i zabawach, i mógłbym z tych sprawozdań prowincyonalnych najmniéj z pół tomu wam wypisać, ale że to jakoś jedno podobne do drugiego, ograniczę się więc na wzmiance, że miejscami bawiono się dobrze, i że wszystkie kobiéty były śliczne, co nie nowina w kraju naszym. Ale to nowina, a przynajmniéj od niejakiego czasu, że na podobnego rodzaju zebraniach obywatelskich toczy się zwykle poważna i nauczająca rozmowa o ulepszeniach w rolnictwie, przemyśle, o wzmożeniu bogactwa krajowego, a nawet czasami (słuchajcie!!) o literaturze i sztuce. Tak jak karty, wino, jarmarki, nawet rozpamiętywania o wielkomiejskich przyjemnościach zeszły na drugi plan, ustępując miejsca przedmiotom poważniejszym i więcéj na dobie będącym. A kobiéty nie szkodują także na tém, bo ten powrót do normalnego stanu rzeczy i w ich towarzystwie godziwéj i przyjemnéj rozrywki szukać każe. Dawniéj bywały one opuszczane dla hulanki, kart i wina, więc samotnie królowały w salonach; dzisiaj królują one także, ale gromadzą w około siebie daleko liczniejsze grono poddanych. Sens Krasickiego powraca znów w modę.

I wszystko się układa przyzwoicie, zgodnie.
O Hymenie! rozpalaj napowrót pochodnie.

W Warszawie podrożało mléko, a staniało wino; różne skutki téjże saméj przyczyny.

---

## O WYSTAWIE OBRAZÓW W KRAKOWIE.

Na dniu 15 maja odbyło się losowanie zakupionych przez towarzystwo sztuk pięknych obrazów i sztychów. Doroczną tę uroczystość zagaił krótką przemową prezes towarzystwa, książę Władysław Sanguszko; poczém odczytano sprawozdanie ze stanu dochodów i wydatków, z którego tę dobrą wróżbę wyciągnąć można, że liczba przybywających akcyonaryuszów rozszerza się z każdym rokiem. Obecnie liczy towarzystwo 2300 akcyonaryuszów, a zatém o sto więcéj niż w roku upłynionym. Co budzi to zaufanie w tak krytycznych czasach, nie bardzo troszczących się o sztukę, kiedy tyle ważniejszych trosk cięży na głowie? Nietrudno odpowiedzieć! Oto, jak sądzę, nic innego, tylko nizka (po 5 reńskich) cena akcyj, dająca ogromne korzyści, bo praemium w litografii lub rycinie, wartujące, gdyby je przyszło kupić w handlu rycin, cztéry lub pięć reńskich, a oprócz tego nadzieję wygranéj, i to dość znacznéj, gdy za jeden obraz do losowania przeznaczony płacono nieraz po 1000 złr. Liczba wygrywających losów zmienia się, stosownie do funduszów jakiemi rozrządzić może dyrekcya towarzystwa. Na tém losowaniu było sztuk przeszło sześćdziesiąt; między temi najdroższy obraz Piotrowskiego: *Wąsy dziadusia*. W ogóle dyrekcya wydała na zakupienie malowideł z wystawy około 20 tysięcy złotych pol., do czego dodawszy zakupno obrazów przez osoby prywatne, można summę na ten cel użytą na 25 do 26 tysięcy złp. położyć. Wydatek ten mógłby o wiele być znaczniejszy, lecz kosztowne praemium jakie towarzystwo poleciło wykonać znakomitemu sztycharzowi p. Lüderitzowi w Berlinie, pochłania blizko 16 tysięcy złp. Piękny obraz Simlera: Katarzyna Jagiellonka w więzieniu szwedzkiém, zasługiwał żeby go w godny sposób rozpowszechnić, dlatego téż powierzono go rylcowi prawdziwego artysty. Lubo właściwym celem i dążeniem dyrekcyi towarzystwa nie może być i nie jest ubieganie się o kosztowne praemia, jednakowoż trzeba dogadzać wołaniom akcyonaryuszów, którym się zdaje że jeśli Towarzystwo sztuk pięknych da im mniéj wytworną rycinę na praemium, to już krzywdzi ich kieszeń. A tymczasem ten fundusz jakiby można obrócić na pomoc naszym malarzom, wychodzi za granicę, na niemieckiego rytownika. Rzecz to tak prosta i jasna, a przecież dotąd nie trafiła do uprzedzonych i niepojętnych. Wprawdzie rozszerzanie dobrych rycin przyczynia się także do zaszczepienia smaku, ależ zachodzi pytanie czy praemia robione z utworów naszych artystów, mogą tak kształcić estetyczne uczucie, jakby kształciły ryciny podług wielkich włoskich mistrzów? Brak zakładów litograficznych i rytowniczych w kraju, robi nas zależnymi od zagranicy, zwłaszcza od chwili, kiedy odbicie kamienia (powrót z pod Wiednia) powierzone litografii *Czasu*, będącéj wtenczas pod zarządem p. Fajansa, tak się nieszczęśliwie powiodło. Pomimo największych nakładów, trudno stworzyć od razu to, do czego gdzieindziéj ludzie dojść potrafili pracą lat wielu i wyłącznem zamiłowaniem. Nie tracę jednak nadziei, że i u nas wykształcą się zdatni litografowie i rytownicy, w miarę jak kraj uczuwać będzie pociąg do tych płodów sztuki. Przemyśliwano tu już o tém, aby sprowadzić dobrego rytownika, któryby robił praemium dla towarzystwa, a razem miał uczniów wykonywających pomniejsze roboty sztycharskie. Wszakże na utrzymanie dobrego artysty nie znalazłoby się dość funduszu, a sprowadzać miernego rzemieślnika, niewarto. Dziwię się zawsze, dlaczego wielu młodych ludzi, co oddaje się malarstwu, bez nadziei żeby stali się dobrymi malarzami, nie obiéra zawodu rytowniczego? Ani wątpić o łatwości znalezienia jakiego protektora, mogącego łożyć na utrzymanie takiego ucznia przy zagranicznéj szkole rytownictwa. Dwóch lub trzech biegłych sztycharzy na cały kraj, wystarczyłoby na początek, a co najważniejsza, podkopanoby tym sposobem wziętość litografii, która pomimo wszystkich wysileń, zawsze pozostanie artykułem fabrycznym, a nie owocem najwyższych wymagań sztuki.

Mając mówić o krakowskiéj wystawie obrazów, odbiegłem cokolwiek od przedmiotu i zaczepiłem o rytowników, który to przedmiot, zostający w tak ścisłym związku ze sztuką, zawsze zasługuje na uwagę, gdy o jéj tworach, choć na inném polu, przyjdziezdawać sprawę.

Nie można powiedzieć żeby ogół obrazów był gorszym na tegorocznéj wystawie, jak lat dawniejszych; owszem równość panowała większa niż zwykle. Szpetne potworności zarozumiałéj miernoty pozostały w cieniu. Najliczniéj reprezentowany był pejzaż, lecz nie przez naszych, tylko przez düsseldorfskich artystów, którzy celują w tym rodzaju. Obok nich, z wyjątkiem widoku Warszawy Schouppego, i widoku pobrzeży genueńskich Marszewskiego, twory naszych pejzażystów smutną odgrywały rolę; a jednak większa ich część porodziła się w najcudowniejszéj części Polski, u podnóża Karpat, gdzie sama natura podaje gotową i skończoną kompozycyą. Zastanawiając się nad tém, dlaczego tak wspaniałe wzory nie wykształcają wspanialszych malarzy, przypomniałem sobie uwagę pewnego Niemca, z którym płynąłem na statku z Kolonii do Moguncyi. Był to malarz; rozmawiałem z nim o romantycznych brzegach Renu przesuwających się przed oczami naszemi naturalnie że mi potakiwał; lecz kiedy mu napomknąłem że to niewyczerpana kopalnia dla pejzażystów, uśmiechnął się pogardliwie i odrzekł: „Widoki można tu zbiérać co krok, ale dla pejzażysty niéma co robić, kiedy natura wszystko już zrobiła.“ Uwaga to głęboka i trafna. Piękna natura, to jak piękna kobiéta, tak olśniéwa blaskiem powierzchownego uroku, że ani ci przez myśl nie przejdzie robić nad nią psychologiczne studia, przynajmniéj tak długo, jak długo trwa potęga rzuconego czaru. Ależ na pejzażystach naszych nieznać nawet i tego oczarowania; po większéj części patrzą oni na naturę, jak na dekoracyą teatralną. Szkic zwykle zdejmują na miejscu, malują zaś w pokoju, podług litografowanych wzorów Calama i t. p. Żaden z pejzażystów naszych, jakich widziałem w życiu, nie wzniósł się jeszcze wysoko. Nie wyrzekam na to, i widzę w tém objaw wyższych instynktów, kiedy człowiek więcéj zajmuje sztukmistrza i więcéj doń przemawia, jak sama choćby najcudowniejsza natura, będąca tylko tłem, na którém malują się sprawy ludzkie. Dziwna rzecz jednak! z naszą sztuką przychodzimy tak późno, żyjemy w czysto eklektycznych pojęciach, a jednakowoż nie zmienia się kolej którą rozwijała się sztuka u Włochów i Niemców....

W historycznym rodzaju, można bez samochwalstwa powiedzieć, zrobił się od dwóch lat taki postęp, że niewierni mogliby już uwierzyć w istnienie sztuk pięknych pod naszém niebem. Piotrowskiego *Wanda*, Simlera *Katarzyna Jagiellonka*, a teraz Loefflera *Zgon Czarnieckiego*, jużby powinny dać do myślenia wątpiącym. Ostatni ten obraz, to czoło wystawy. Środek wnętrza chaty zajmuje na tapczanie leżący, a raczéj siedzący hetman. Głowa śliczna, twarz schorzała i blada bladością zbliżającéj się śmierci; a jednak w oczach maluje się rzewna tkliwość dla tego rumaka, którego po raz ostatni gładzi jedną ręką po głowie, a drugą ściska żegnających się z nim towarzyszów broni. W głębi widać wchodzących dostojników koronnych, którzy umierającemu przynoszą późne zaszczyty i nagrody. Najosobliwsza w całéj kompozycyi harmonia i tak umiejętne skierowanie interesu, że wzrok omija wszystkie szczegóły, a tylko zatrzymuje się na głównéj osobie. Nic tu nie rozdziela jedności, nic nie przeszkadza w ogarnięciu jéj, a wszystko przyczynia się do wytłumaczenia treści. Ktokolwiek widział portret Czarnieckiego, lub komu znane szczegóły jego śmierci, nie potrzebuje żadnego komentarza, aby mógł zrozumieć co obraz przedstawia. Do wielkich zalet tego utworu należy wszelkie unikanie wyrachowanych efektów; każda osoba, każdy przedmiot mówi tu za siebie. Światło, którém tyle dokazywać umieją malarze, jest tu nadzwyczaj łagodnie rozlane; znać że to wnętrze zakopconéj chaty. Odrobiną przepuszczonéj przez mdłe szybki jasności oświecił artysta głowę i piersi hetmańskie, i to już wystarcza, a nawet odpowiada posępnemu wrażeniu chwili tak bolesnéj i tak uroczystéj. Nie mogę jednak powiedzieć żeby obraz ten był malowany w wielkim stylu historycznym; same rozmiary są mniejsze, charakteryzujące niejako przejście z rodzajowego do historycznego przedmiotu. Wydaje się on jakby karta, nie z Koźmianowskiéj epopei, lecz z Walterskockiego romansu wyjęta, taka tu prawda, taki charakter w postaciach i archeologicznych akcessoryach. Czarniecki Loefflera mógłby nawet na paryzkiéj wystawie zwrócić na siebie uwagę znawców, niewielu bowiem znalazłby rywalów. Dyrekcya sztuk pięknych nie była w stanie go zakupić, dla wyższéj, a jednak wcale umiarkowanéj ceny, jaką artysta położył (2000 złr.). Wszakże kilku już możnych amatorów pokazywało chęć nabycia tego dzieła.

Piotrowskiego (z Królewca) Wąsy dziadusia zachwycały widzów naiwnością pieszczot dzieciny ze starcem, a głównie charakterystycznemi głowami, wziętemi z naszego krakowskiego ludu. Żwawa i tęga gosposia, co to od rana do nocy krząta się około pracy, a mimo tego ciągle wyśpiewuje, trzyma na kolanach chłopaczka, który skubie za wąsy nachylonego ku sobie starca w kapocie i baraniéj czapce. Rodzaj kompozycyi przypomina zdaleka niektóre karty z Kramu malowniczego Piwarskiego; przytém doskonały tu rysunek, twarze pełne znaczącego wyrazu, wreszcie pewien wdzięk słodyczy i wieśniaczéj prostoty, z jakim się rzadko spotykamy w tworach naszych malarzów. Piotrowski, równie jak Loeffler, coraz więcéj stają się narodowemi, przez przywłaszczenie sobie tych cech, co mogą szkołę polską zrobić odmienną od każdéj innéj.

Nieznany prawie na wystawach krakowskich, a już

zalecany przez pisma warszawskie talent Straszyńskiego, objawił się w dwóch kawałkach niepoślednich przymiotów. Jeden olejny obrazek przedstawia Twardowskiego, w chwili gdy wywołuje cień Barbary. Scena to czarnoksięzka, ze zwykłemi przyborami trupiéj czaszki, laski magicznéj, gorejącéj lampy i gęstych kłębów dymu.... Zygmunt August, świadek téj sceny, pełen pomięszania i wzruszenia, wyciąga ramiona do ukochanego widma, gotów nawet biedz ku niemu i przycisnąć je do serca; lecz groźny, a razem szyderczy wzrok Twardowskiego przykuwa go w miejscu. Obrazek ten więcéjby zrobił wrażenia, gdyby malarz w Twardowskim nie był przedstawił takiego jarmarcznego szarlatana, co zdaje się drwić w duchu i ze swojéj sztuki, i z łatwowiernego Zygmunta Augusta. Drugim jego płodem jest akwarella: *Kazanie do śledzia*. Scena to prawdziwie Hogartowska; szkoda jednak że te staropolskie, kontuszowe figury tak są skarykaturowane. O panu Straszyńskim można powiedzieć, że go Bóg niepospolitym obdarzył talentem; komponuje z wielką łatwością, ma dużo fantazyi i ognia improwizacyjnego; nie dostaje mu tylko głębszego rozmysłu i wykształceńszego uczucia. Biorąc powołanie artysty na seryo, zdobędzie jedno i drugie.

Równy mu talentem Tepa, nie najlepiéj wystąpił w tym roku. Dwie akwarelle ze Wschodu, bardzo zręcznie malowane, nie są żadną nowością, bo daleko lepsze wychodziły z pod jego ręki. Portret Bozarisa olejny, nie jest bez charakteru i siły, lecz w kolorycie coś niezdecydowanego. *Apoteoza Mickiewicza*, większych rozmiarów obraz olejny, ma przecudowne rzeczy. Cały ten orszak w powietrzu unoszących się, a przez poetę stworzonych istot, sprawia ten urok i wrażenie co Leonora Bürgera... Noc czarna, wietrzna, chmurna, istna godzina duchów, bo oto z cmentarza podniosły się jakieś mary i pędząc powietrzem unoszą z sobą ciało zmarłego poety! Czemuż nie duszę, uroczą Psychę? Realizm ten był tu niepotrzebny, a przynajmniéj tak przykry, jak pęknięcie struny w ciągu pięknéj melodyi.

*Otrucie Bony*, olejny obraz przez Matejkę (z Krakowa), ma niektóre części tak znamienite, żeby się ich ani Piotrowski, ani Simler, ani Loeffler nie powstydzili. U Bony tylko twarz chybiona, czy zepsuta, nie wiem, dość że przeszkadza ogółowi kompozycyi. Metoda malowania stanowi tu szczególniejszą zaletę; malarz wydobywa koloryt czysty, cienie głębokie a przejrzyste. Może być z niego wyborny kolorysta.

POSĄG MATKI BOSKIÉJ.
Rytował H. Röber w drzeworytni Tygodnika.

Życzę mu tego z serca, bo u nas o kolorystów bardzo trudno. Czyżby na północy nie rodzono się z tą zdolnością? O portretach tego malarza niéma wiele co mówić; są one niezmiernie pretensyonalne i dlatego tak nieprzyjemne.

Kapliński lubi szukać natchnienia w poezyach; tym razem w panu Tadeuszu znalazł motywa do swoich szkiców, czy studiów, i zrobił klucznika, i Maćka nad Maćkami. Fizyognomie oryginalne starych dworskich wyjadaczy, po szyję wybornie pojęte i oddane, ale co daléj, to mógłby te same głowy podokończać i rybim ogonem, a obstałby za ten korpus i nogi. Warto żeby p. Kapliński, mający i smak, i wykształcenie o wiele wyższe od znacznéj części naszych artystów, wziął się do ścisłych studiów anatomicznych, inaczéj nigdy nie potrafi postawić człowieka na nogach.

Nowotnego z Rzymu *Święta Zofia*, obraz ołtarzowy, ma zalety religijnéj kompozycyi; jakiś spokój w wyrazie tych wdzięcznie poważnych, niepołamanych linij, chwyta za serce i nastraja do pobożnego wzniesienia. Koloryt przypomina przedrafaeliczną szkołę, równie jak te naiwności w szczegółach i w pojęciu całości. Znać tu że dusza artysty przyswoiła sobie ten język, jakim tłumaczyła się sztuka Fra Angelików i Peruginów.

Inny z Rzymu przybyły niedawno malarz, Strzegocki, także maluje religijne obrazy. Jego Najświętsza Panna i głowa Chrystusa tak są wymanierowane, a przytém tak niepoprawne w rysunku, że nawet dyrekcya nie śmiała ich nabyć. Dawniejsze jego praca były o wiele lepsze, zapowiadały nawet dobrego malarza, ale Rzym!... i Rzym nikogo nie zbawi, kto nie pracuje na zbawienie.

Rzym! Paryż! te herkulesowe słupy i ultima Thule artystów, niezawsze dają to, po co tam jadą nasi malarze. Jaki taki, wybrawszy się w tę podróż z lekkim pakunkiem samorodnego talenciku, wzbogaconego bardzo skromną domową umiejętnością, zostaje naraz rzucony w odmęt arcydzieł, których albo nie rozumié, albo jeśli rozumié, to upada pod ich ogromem, i aby żyć, obiera łatwy zawód rzemieślnika obrazów, napchanego dumą paranteli z Rafaelem i Michałem Aniołem. Największa część nic tam nie korzysta, niczego się nie uczy, a nawet zapomina co w domu umiała. Podług mnie, tylko skończony, dojrzały mistrz niech jedzie do tych dwóch stolic świata i sztuk pięknych; dla uczniów, a nasi malarze przecież jeszcze do wysokości mistrzów nie dorośli, dla

HANDLARZE ULICZNI WARSZAWSCY.
Rysował Lewicki, rytowano w drzeworytni Tygodnika.

uczniów najzbawienniéj szukać nauki w ścisłych, pracowitych akademiach, pod sumiennemi professorami w Monachium, Dreznie, Düsseldorfie, Berlinie, a w ostatnim razie i w Antwerpii. Wiem to z doświadczenia, że rok poczciwéj nauki między Niemcami, lepiéj i pożyteczniéj ukształcał malarza, niż dziesięć lat pobytu w Paryżu lub Rzymie, gdzie nawet wietrzeją szczęśliwe wyobrażenia i oryginalności ojczyste, któremi się napoiło serce i oko; niejeden wyniesie ztamtąd trochę wprawy w użyciu farb i szczotki, i dużo zarozumiałych słów, któremi się skarży na obojętność ziomków, nieumiejących oceniać tyle wielkich poświęceń. Dla kogo? jeśli wolno zapytać. Zapewne dla sztuki! Ależ moi panowie, nie zapominajcie o tém, że gdzie jest prawdziwa miłość, tam nie cięży poświęcenie się, gdzie miłość, tam i nagroda miłości.. Źli tylko kochankowie, co dostali odkosza, rachują sobie ekspensa i fatygę. *Parafialny Vasari.*

## ULICZNI HANDLARZE WARSZAWSCY.

W niespełna cztérdziestu leciech, ludność Warszawy uległa licznym zmianom, a głównie utraciła wiele typowych postaci, które dawniéj zdawały się zrastać ze starym grodem Mazurów. Oprócz wielu innych, dwie uwydatniały się szczególniéj: *Cébularza*, którego wyglądały gospodynie i kucharki, i tak zwanego *Jarosławiaka* z orzechami włoskiemi, z taką tęsknotą o czekiwanego przez dziatwę miejską.

Piérwszy, zwykle w kapocie dawnego polskiego kroju, na czapce rogatywce miał *koszałkę* plecioną ze słomy; na obu ramionach, na długich pasmach słomianych, utkane były zręcznie główki cébulane, które sprzedawał już pojedynczo, już kawałkami, albo całkowite pasma. Cébula ta zwykle pochodziła z *Korczewia* na Podlasiu, słynnego z gruntów plennych na cébule, lub téż z ogrodów warszawskich. Główny i jedyny handel cébularza stanowiły wyłącznie cébule i koszałki plecione. Zwykłém zamieszkaniem jego, jako i Jarosławiaków, była ulica Mostowa i jéj przyległe ponad Wisłą uliczki, gdzie każdy z nich utrzymywał oddzielny sklepik.

Jarosławiak, pospolicie wyniosłego wzrostu, w stroju jak go widzimy w załączonym drzeworycie, niósł w sieciowym worku orzechy włoskie, któremi potrząsając wołał donośnie: orzechy włoskie! orzechy włoskie! — Towar ten przychodził do nas głównie z Węgier, a pokup był największy przed świętami Bożego Narodzenia, gdyż na każdym niemal stole przy *wigilii* musiały być włoskie orzechy. Wtedy Jarosławiacy szybko ze swoim uwijali się towarem, bo po odwidzeniu kilku domów, wypróżniali swoje sieciowe worki.

Postać cébularza różniła się wielce od Jarosławiaka: piérwszy, zwyczajnie średniego wzrostu, dobréj tuszy, powolny w chodzie, przytłumionym więcéj głosem obwoływał swe towary; drugi smukły, zwinny, szybko przechodził ulice miasta, potrząsając co chwila workiem na plecach zwieszonym.

Obok cébularza, widzimy sędziwego Andrychowiaka, który nosi na sprzedaż kołdry letnie i watowane i okrycia na łóżka, w ubiorze staropolskiego kroju, dziś coraz więcéj znikającym. Przechodził wolnym krokiem, wołając od czasu do czasu: kołdry! kołderki! kołdereczki! Naprzeciw Jarosławiaka postępuje ulicą kobiéta, obwołująca co chwila niesiony towar: *garnków! rynków!* Na słomianym kapeluszu, jako godło swoje, ma przewróconą rynkę i tegoż kształtu drugą niesie w ręku; na plecach dźwiga garnki i dzbanki, w drugim ręku małe dzbanuszki, w fartuchu przed sobą miski. Są to wszystko wyroby krajowe, ze sławnéj gliny iłżyckiéj, wysoko cenionéj w gospodarstwie domowém.

## OBRACHUNEK ROBOCIZNY.

Obraz którego drzeworyt załączamy, przed niedawnym czasem znajdował się na wystawie krajowéj. Jest to kompozycya osnuta na tle obyczaju istniejącego u nas dotychczas, z wiernem oddaniem charakterów fizyognomii ludowéj, oraz miejsca w którém załatwiają się gospodarskie interesa. Podobny obrachunek robocizny odbywa się zwykle w niedzielę rano przed nabożeństwem; uskutecznia go albo sam dziedzic, albo téż ekonom. W obrazie p. Kostrzewskiego urząd ten pełni ekonom, typ mający właściwą sobie fizyognomią — to jest mieszczanin w długim szaraczkowym surducie, z miną surową, podstrzyżonym wąsem, przeświadczony głęboko o ważności swego powołania i wykonywający je w całém zebraniu ducha. Obywatel siedzi opodal na wygodnym fotelu, w eleganckim szlafroku, z fajką, i kiedy niekiedy wtrąca lakoniczne zapytanie, lub stanowczy wydaje rozkaz. Gromada różnéj płci chłopków, z wystraszonemi po większéj części fizyognomiami, słucha uważnie, kiedy ekonom zawoła po imieniu. Figury tego obrazu mają wiele prawdy w wyrazie. Chłopek stojący pośrodku całéj gruppy, z ręką przy twarzy, wybornie maluje namysł i pewne zdziwienie nad pamięcią ekonoma, który nie podniósłszy nawet głowy, wylicza liczbę dni, z wyszczególnieniem rodzaju pracy jaką wykonał. Zagapiony chłopiec stojący pod piecem, należy także do najlepszych typów tego charakterystycznego obrazu. Kompozycya ta w całości nie jest wykonana ani zupełnie seryo, ani humorystycznie, ale po prostu prawdziwie, i właśnie dlatego w obrazie p. Kostrzewskiego to uroczyste milczenie, wywołane ministeryalną powagą ekonoma, w bardzo zwyczajnéj okoliczności obrachunku, kryje w sobie niezwykłą komiczność.

OBRACHUNEK ROBOCIZNY.

Rysował Kostrzewski (autor obrazu), rytował Drążkiewicz w Warszawie.

## DWA WESTCHNIENIA.

OBRAZEK PRZEZ ANONIMA.

(*Dalszy ciąg.*)

I nieprędko w tym cichym zakątku, poezyą miłości i upojenia zastąpiła proza życia. Piérwsze dnie, piérwsze tygodnie, miesiące nawet, przebiegły jasne i pogodne, jak przezroczyste obłoki po niebie. Niekiedy wprawdzie Edward, strwożony topnięciem małego zapasu gotówki, zabierał się do pędzla, lecz jakieś znużenie organizmu, jakieś błogie lenistwo bezwładniło pracowite dawniéj ręce, i te podloty wyobraźni i energii kończyły się na rozstawieniu sztalug, naciągnieniu płótna i kilku rysach rzuconych... Wreszcie ktoś z dawniejszych klientów kupił zapasowy obrazek; ściany saloniku pustoszały co chwila, a młody Annibal.... drzémał w roskosznéj Kapui!

Leontyna, mimo zachwycenia serdecznego, widziała to odrętwienie duchowe swojego męża. Kobiétom wcześniéj daje natura ten dar refleksyi śród uniesień, to przeczucie niebezpieczeństw śród pomyślności....

Nie śmiąc wprost otworzyć swych myśli, ani przestrzedz Edwarda, sama pracowała często w jego obecności, przypominając mu tym sposobem, że ich przeznaczeniem jest walka z losem o chléb powszedni. Lecz biédna kobiéta czuła się coraz słabszą: piérwsze póczucie macierzyństwa odebrało jéj zdrowie i siły, nie mogła pracować swobodnie.

Pewnego poranku, podczas gdy młode małżeństwo siedziało w saloniku, ktoś zadzwonił. Leontyna schroniła się do przyległéj sypialni, a Edward, otworzywszy drzwi, ujrzał pana Kaźmirza, który tym razem, zawiast szlafroka, miał surdut koloru orzechowego, a zamiast łysiny perukę.

— Ach! to pan, kochany ex-sąsiedzie! zawołał gospodarz domu z pewną przyjemnością, jakiéj doznajemy zwykle na widok osób, które nam przypominają dni życia już minione, w dobréj czy złéj doli.

— Tak, to ja, kochany ex-artysto, odrzekł ze złośliwym uśmiechem gość, ściskając poufale podaną mu rękę. Przyszedłem cię odwidzieć na nowém gospodarstwie i pogawędzić o interesach.... No, dodał, siadając wygodnie na miękkiéj sofie, tu jakoś przyjemniéj i suciéj, niż tam bywało pod strychem, chociaż tam światło miałeś pan wyborne! Ale.... gdzież jéjmość dobrodziejka? Choć nieustrojony na piérwszą wizytę, bo z interesem przyszedłem, radbym przecież złożyć hołd twoim bogom domowym. Cóż ty na to, panie ex-sąsiedzie?

— Żona mi trochę cierpiąca.... rzekł Edward. Jakoś już od trzech miesięcy straciła zwykłą rzeźwość. Prócz tego, i dlatego może, nie ubrana w téj chwili.

— Ba! ba! Na co tak długie tłumaczenie. To się rozumié przecież. Młode mężatki zwykle podpadają dolegliwościom tego rodzaju.... No! będzie znów uroczystość domowa. Służę w kumy, jeśli łaska....

— Lecz.... mówiłeś mi pan, że masz jakiś interes, rzekł Edward, przerywając dowcipne domysły ex-sąsiada. W czémże mogę być użytecznym panu?

— Ach! to znów inna materya! Wyobraź sobie panie kochany, wysłała mnie tu do ciebie czarnooka hurysa, na stepach Rusi czerwonéj zrodzona, z missyą arcy-dyplomatyczną.

— Cóż to ma znaczyć?... Zapominasz chyba, panie Kaźmirzu, że już nie mogę bez bałwochwalstwa oddawać czci bóstwom pogańskim, mając domowy swój ołtarzyk....

— Per bacco! Jesteś pan zbyt podejrzliwy. Mniemam, że moja przyzwoitość jest znaną.... Kwestya jest dyplomatyczna, lecz nie sentymentalna.

— O cóż więc idzie? mów pan po prostu.

— Masz słuszność. Tandem: pewna młoda, bogata i bardzo ładna hrabina, wdowa do tego jeszcze, życzy sobie ażebyś pan zrobił jéj portret, który przyrzekła wysłać matce swego nieboszczyka męża aż do Lwowa.

— Dlaczegóż mnie wybrała w tym celu?

— Dlatego, że widziała kilka pańskich prac w tym rodzaju, mianowicie zaś portret panny N., który zrobiłeś zeszłego roku, podobał się jéj niezmiernie. Otóż, ponieważ miałem zaszczyt miéć bliższe stosunki z familią téj damy w Galicyi, gdy jeszcze dzieckiem była, przeto raczyła mi powierzyć układy w tym interesie. No! jakże tedy? przyrzekasz pan zrobić portret?

— Jakież nazwisko oryginału?

— Jaśnie wielmożna Amelia, hrabina Łucka, właścicielka milionowego majątku i niezrównanych przymiotów, rzekł z emfazą pan Kaźmirz.

— Czy jw. hrabina Łucka potrzebuje miéć swój portret w pewnym oznaczonym czasie?

— Bez wątpienia. Imieniny jéj świekry przypadają za miesiąc prawie; licząc przeto na odległość przesyłki, zdaje się że i oryginał i malarz nie mają czasu do stracenia.

— W istocie.

— Tak więc, panie kochany, pozwól że powtórzę zapytanie: czy gotów jesteś zrobić portret pani Łuckiéj?

— Gotów, panie.

— Jakąż cenę naznaczasz za to arcydzieło twojego pędzla?

— To zależne....

— Od czego?

— Przedewszystkiém od rozmiarów obrazu. Nie wiem téż czy pani Łucka życzy sobie popiersia tylko, lub całéj postaci, czy w naturalnéj wielkości, czy tylko w połowie.

— To już chyba osobiście dowiész się pan o takich szczegółach i późniéj oznaczysz cenę. Zresztą, wysokość ceny nie będzie tu żadną przeszkodą, bo moja klientka jest bogatą i hojną. Jéj majątek ziemski, położony w Galicyi, wspierają jeszcze kamienica w Warszawie i znaczne kapitały.

— W takim razie spodziewam się, że wkrótce po ukończeniu portretu dla matki piérwszego męża, będę mógł zacząć drugi, dla... szczęśliwego następcy.

— Wątpię, pani Amelia zamiłowała swobodę wdowiego stanu i nie zechce ani sobie, ani swoim posiadłościom nadać nowego władzcy.

— Ależ ta rzeczpospolita jest jeszcze młodą i piękną, jak o tém pan zapewniasz. Mniemam przeto że prędzéj lub późniéj zapragnie odmienić formę rządu...

— Być może; lecz ponieważ nie chcesz pan stanąć w rzędzie konkurentów, będąc szanownym małżonkiem innéj, przeto nie czyniąc bezużytecznych przypuszczeń, ukaż się tam jako artysta z pędzlem i paletrą....

— Więc pani Łucka życzy sobie abym ten portret zrobił w jéj mieszkaniu?

— Takie jéj życzenie.

— Lecz to sprzeciwia się zwyczajom naszym, a prócz tego dodaje wiele kłopotu; wreszcie téż pozbawia możności wykończenia dzieła w drobiazgach, podczas nieobecności modelu.

— Prawda, lecz jest na to środek zaradczy.

— Jakiż?

— Posiedzisz pan dłużéj w salonie pani Amelii i polikwidujesz sobie czas stracony.

— Niech i tak będzie. Dziękuję ci panie Kaźmirzu za nastręczenie zarobku, serdecznie dziękuję!

— Nie ma za co. Per bacco! Ja chciałbym abyś ciągle pracował, mój panie! Zresztą nie ja, lecz sama pani Łucka wybrała cię do wykonania portretu.... nie mam więc żadnéj zasługi.

Pan Kaźmirz wstał i wziął kapelusz.

— Już to mnie pan opuszczasz, szanowny ex-sąsiedzie?

— Mam pilną sprawę w appellacyi, muszę tam spieszyć. Kiedy indziéj wynagrodzę sobie krótkość dzisiejszéj wizyty i może będę tyle szczęśliwym, iż złożę moje uszanowanie godnéj małżonce pańskiéj.

— Proszę serdecznie! Lecz, zapomnieliśmy oznaczyć porę piérwszego posiedzenia.... nie powiedziałeś mi pan nawet, gdzie mieszka hrabina Łucka?

— Oto jéj bilet wizytowy, z wypisanym umyślnie dla pana adresem. Co do godziny, sam pan wybieraj.

— A więc, jutro o dwunastéj z rana....

— Dobrze.

Zaledwie pan Kaźmirz wyszedł, Edward w kilku rażnych podskokach przebiegł salonik i ukazał się w drzwiach sypialni, wołając: Zwycięztwo! Zwycięztwo! moja najdroższa Leonciu! Mam robotę!

Lecz młoda kobiéta nie zdawała się dzielić radości męża. Wysłuchała ona, mimowolnie nawet, całą rozmowę dwóch dawnych sąsiadów i jakieś bolesne przeczucie ogarnęło jéj serce na myśl, że Edward będzie malował portret pięknéj i bogatéj kobiéty w jéj własnym domu, że kilka godzin codziennie będzie pod wpływem wzroku swojego modelu.

— Cóż to? zawołał Edward, zdziwiony przymuszonym uśmiechem żony. Pani moja nie raczy podzielać radości swojego rycerza? Czy ty wiész, dodał ściskając jéj ręce, że ta robota zapewni nam spokojność, a we mnie odrodzi uśpioną energią? Czy wiész, że za kilkanaście dni pracy wezmę kilkaset rubli? że ci kupię ładną salopę, a dla kogoś jeszcze.... malutką, prześliczną garderóbkę? Niewdzięczna grymaśnico!..

— Lecz.... rzekła cokolwiek rozjaśniona Leontyna, ta pani jest tak piękna....

— Tém lepiéj! Nie będę potrzebował pochlebiać jéj na płótnie.

— Lecz, mój Edwardzie....

— Lecz.... moja Leonko, jesteś dzieciak! Cóż u licha, czy nie zechcesz czasem być zazdrosną o każdą kobiétę, któréj portret robić mi przyjdzie w ciągu całego życia?

— O każdą.... nie. Lecz.... pan Kaźmirz tak wychwalał piękność pani Łuckiéj....

— Cicho, dzieciaku jakiś! Czyliż ty nie wiész że dla mnie niéma nic piękniejszego nad ciebie, nic droższego nad twoje serce!...

Serdeczny uścisk zakończył tę rozmowę.

* * *

W dziesięć dni po odwidzinach p. Kaźmirza i jego portretowéj negocyacyi, Edward znajdował się w małym, prześlicznie ubranym saloniku, a raczéj buduarze, do którego światło padało jasno, przez wielkie weneckie, na kamienny balkon wychodzące okno, które zazwyczaj przysłaniały dubeltowe firanki, a które obecnie odsłoniono, dla dogodności malarza.

Edward, samotny, stał przed sztalugami, na których obszerne płótno, przybite do ram drewnianych, zajmował nawpół już skończony portret siedzącéj kobiéty. Młody artysta co chwila oddalał się o parę kroków od blejtramu, wpatrywał się bacznie w rozmaite plany i akcessorya swojego dzieła i powracał doń znowu z pędzlem w dłoni, pracując z niezmordowaną gorliwością. Portret ten przedstawiał młodą kobiétę, w strojnym i gustownym negliżu, siedzącą na nizkiém krześle przy stoliku; w jednéj ręce trzymała ona medalion otwarty, schylając ku niemu wdzięczną głowę opartą na drugiéj ręce, zgiętéj roskosznie na hebanowym stoliku, po którym rozrzucał się efektownie biały haftowany rękawek.

Lecz nie strój, ani układ téj postaci uderzał wzrok patrzącego; zachwycała go najpiérw głowa, ubrana splotami bogatych włosów kasztanowatych; twarz, ożywiona cudowną karnacyą młodości i wdzięku; usta, ktorych łuk zakrzywiony roskosznie uchylał się nieco, aby ukazać rząd małych, równych i świetnéj białości zębów. Nadewszystko zaś oczy, nieporównanego blasku i wyrazu, miały tę tajemniczą głębokość spojrzenia, co łączy w sobie uczucie i smutek, szyderstwo i boleść. Te oczy były wydarte z głowy upadłego anioła, w chwili gdy tęsknił do raju....

— Nie! zawołał nagle Edward, rzucając pędzel i zakrywając twarz rękami — ja nie skończę nigdy — ja nie chcę kończyć tego portretu!

— I dlaczegóż to, mój piękny Tycyanie? Zkądże tak rospaczne postanowienie? ozwał się nagle głos dźwięczny i harmonijny, o kilka kroków od malarza.

Edward odwrócił się pomięszany i blady: hrabina Amelia stała przy nim, z uśmiechem zapytania na ustach.

Oryginał piękniejszym był od portretu, przewyższał go życiem, które drżało w każdym rysie, w każdém poruszeniu téj prześlicznéj postaci.

— Sądziłem że sam jestem, wyjąkał zmięszany malarz, i powiedziałem te wyrazy.... w skutek... to jest.... raczéj byłem zniechęcony moją nieudolnością. Wierz mi pani, dodał żywiéj, przychodząc do siebie, że niepodobieństwem jest odtworzyć jéj oblicze. Pani hrabina masz rysy tak wrażliwę i zmieniasz je tak często, że doprawdy nie wiem co począć, w jakiéj chwili malować panią....

— A ja panu zabraniam rospaczać i zmieniać cokolwiekbądź w tym portrecie: jest on podobny do tego z rozlicznych wyrazów mojéj fizyognomii, który mnie najlepiéj się podoba; a samo wykonanie, modelacya i koloryt przynoszą zaszczyt talentowi artysty. Racz mi pan wierzyć, panie Edwardzie, że znam się cokolwiek na malarstwie. W mojém wędrowném życiu, które wiodłam podczas cztéroletniego pożycia z nieboszczykiem hrabią Łuckim, widziałam bardzo wiele, i szczérze panu powiem, że w żadnym z młodych artystów, spotkanych w wielkich stolicach Europy, nie widziałam tyle szczęśliwego usposobienia. Pan masz ogromny zasób uczucia, zapału i poezyi; kolor prześliczny! Brakuje ci tylko jednéj rzeczy, koniecznéj — podróży do Włoch, i rocznego chociaż pobytu w Paryżu. Wrócisz pan ztamtąd znakomitym artystą!

Edward słuchał harmonijnego głosu hrabiny z zachwyceniem. Zaledwie zdołał schwytać znaczenie jéj wyrazów, odpowiedział jednak po chwili z goryczą:

— Pani hrabina sądzi mnie zbyt łaskawie.... znam moje siły i czuję ile mi brak jeszcze. Co zaś do podróży za granicę, jest to zamiar niepodobny do wykonania.... ze względu na moje stosunki domowe....

— Ach! prawda, pan masz żonę! Istotnie kłopot to wielki, dla malarza szczególniéj.... Ależ bo po co było tak spieszyć się do zajęcia poważnego krzesła ojca rodziny?... pan tak młody jeszcze!... Nakoniec, znałam wielu żonatych artystów, którzy podróżowali wraz z małżonkami, lub i bez nich, dodała z uśmiechem. Lecz nie mówmy o tém, — chociaż... doprawdy, żal mi że pana tu zostawić muszę w tém miasteczku, śród drobnych plotek i zgubnego lenistwa.... Żależysz tu pole, mój Tycyanie.

— Dokądże pani udaje się z Warszawy?

— Do Włoch, panie Edwardzie. Umieram z tęsknoty do zielonych gajów pomarańczowych, do ciem-

no-błękitnego nieba, odbitego w falach zatoki neapolitańskiéj. Nawykłam już tak do wędrówki.

— Pani hrabina podróżuje sama tylko?

— Samiuteńka, chyba że pan liczysz za coś moję pannę służącą i starego kamerdynera....

— I kiedyż pani wyjedzie?

— To zależy od pana....

— Jakto pani?

— Skoro tylko skończysz pan mój portret—wysyłam go na pocztę i uciekam z Warszawy, w któréj załatwiłam już wszystkie interesa wymagające obecności mojéj.

— Oh! ależ w takim razie będę malował bardzo powoli. Nie powiedzą przynajmniéj, że z mojéj przyczyny Warszawa utraciła najpiękniejszą ozdobę swoję.

— Strzeż się, panie Edwardzie! powiedziałeś mi kompliment, który obraziłby wszystkie damy tutejsze—pańską żonę najpiérwéj.... Powiész mi pan jednakże, ile na seryo potrzebujesz czasu do zupełnego wykończenia?

— O! bądź pani spokojną, rzekł młody malarz z melancholijnym uśmiechem. Nie jestem egoistą i odtąd pracować będę usilniéj jeszcze, ażeby panią uwolnić i od Warszawy, i od wszystkich jéj mieszkańców....

Amelia rozśmiała się serdecznie, a zbliżając się nagle do Edwarda, rzekła:

— Jesteś pan szczéry, jak najczystsze złoto. Każde twoje wrażenie odbija się na twarzy, w głosie nawet. Otóż, w imię téj szczérości, wzywam pana, odpowiédz mi na jedno pytanie.

— Jakie pani?

— Czy ja podobam się panu bardzo?

Gwałtowny rumieniec oblał twarz i czoło malarza. Opanował się jednak po chwili i rzekł spokojnie, drżącym cokolwiek głosem:

— Pani hrabina jesteś bardzo piękną, podobasz się pani każdemu, kto ma wzrok i .... duszę.

— Dziękuję ci, panie Edwardzie; otóż w takim razie proszę cię, abyś obrał mnie sobie za muzę w twojém artystyczném życiu.... Nie wiem dlaczego, dodała smutnym głosem, byłabym bardzo nieszczęśliwą, gdybym uniosła to przekonanie, że w tém mieście, na téj części ojczystéj ziemi naszéj, nie został nikt co o mnie myśli, co pamięta jak rysuje się uśmiéch na moich ustach i jak moje oczy wyglądają w płaczu.

W téj chwili, po smętnym uśmiéchu, łza czysta i jasna jak perła rosy, stoczyła się po licu Amelii.

— Siadaj pan przy mnie, rzekła nagle, rozjaśniając oblicze, i nie śmiéj się z moich wesoło smutnych kaprysów. Przedewszystkiém jednak, podaj mi pan to album. Teraz siadaj. Chcę panu pokazać prześliczny szkic jednego z wielkich artystów niemieckich. Zostawił mi go na pamiątkę. Patrz pan, dodała otwierając album, oto jest.... Cóż powiész o tym rysunku?

To rzekłszy, pochyliła się ku Edwardowi, jakby z nim razem chciała przypatrywać się kartce albumu, lecz w tém poruszeniu pukiel jéj włosów, odpięty nagle, rozchwiał się od skroni i dotknął twarzy artysty. Edward zerwał się z krzesła i przyłożył rękę do czoła, w które jakiś piorun krwi szalonéj uderzył.

— Co panu jest? zapytała Amelia.

Stary Francuz, kamerdyner hrabiny, ukazał się we drzwiach salonu z serwetą w ręku i zaintonował poważnie:

— On a déjà servi m. la comtesse!

—Zostań pan na obiedzie, rzekła Amelia, zwracając się do Edwarda; mam świéże ostrygi, dodała z uśmiéchem rozpieszczonéj smakoszy....

Malarz nie odpowiedział; wziął kapelusz, głębokim ukłonem pożegnał hrabinę i wyszedł, trzymając przy ustach chustkę, na któréj ukazała się czerwona plama krwi.

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

## DĄB.

Głębokich puszcz królu, hej dębie ty stary!
Na tobie powagi znamiona,
Zielony liść kryje rozłożne konary,
A czoło szeroka korona.

Trzy wieki nad ziemią jak lotny cień pierzchły,
Śmierć w koło ziarn krocie posiała,
Tyś został, o synu przeszłości zamierzchłéj,
Spotężniał i stwardniał jak skała.

U stóp twych olbrzymich w wieczności granice,
Sześć naszych pokoleń przemknęło,
Tyś patrzał, kołysząc królewskie orlice,
Jak życia i śmierci brzmi dzieło....

Oparłeś się klęsce, gdy piorun z wichrami
Druzgotał twych braci w jesieni;
Z twych lasów, zmięszanych z bliźniemi sosnami,
Wstał okręt, pan morskich przestrzeni.

Z twych lasów nasz pradziad gościnne brał stoły,
Brał trumny z szumiącéj dąbrowy;
I z gniazd twych wywodził myśliwskie sokoły,
W ostępy twe chodził na łowy.

A święte twe gaje nad Niemna brzegami,
Lud niegdy uwieńczał czcią boską.
Ty zrosłeś się z nami, z naszemi dziejami,
I urok roztaczasz nad wioską.

Gdy burza szalona gromami zawoła,
I lasów pogrozi zniszczeniem,
Ty dębie twą młodzież, i krzewy, i zioła
Zasłonisz ojcowskiém ramieniem.

Bo w lasach, i w pieśni, i w oczach narodu,
Ty stoisz jak obraz wielkości....
Z twych liści dasz wieniec wśród cienia i chłodu,
Strudzonéj pracami ludzkości.

*Edmund Znatowicz.*

## ROZMAITOŚCI.

Towarzystwo drogi żelaznéj warszawsko-wiedeńskiéj, troskliwe o zaprowadzenie na drodze téj wszelkich ulepszeń dogodność publiczną na celu mających, zamierzyło opatrzyć swoje parochody *przyrządami do spożywania dymu*. Rzeczone przyrządy, użyte z pomyślnym skutkiem na wielu zagranicznych kolejach, zastosowano już u nas przy dwóch parochodach, a to w następujący sposób. Cały przyrząd, umieszczony w komorze ogniskowéj parochodu, wprowadza tam potrzebną ilość zewnętrznego powietrza, które tamując wznoszenie się dymu, zwraca go do ogniska, gdzie węgliste części w dymie zawieszone, ulegają ostatecznemu spaleniu. Tak oczyszczony dym wychodzi następnie kominem, lecz już w postaci niedostrzegalnego gazu, połączonego z parą wodną, wprowadzaną do komina w celu ożywienia przeciągu powietrza. Widoczną jest rzeczą, że urządzenie to zapobieży zanieczyszczaniu przez dym machin i powozów, a zarazem przyczyni się do oszczędzenia paliwa.

W końcu zeszłego miesiąca odbytą została w obecności jw. dyrektora głównego przychodów i skarbu, próbna jazda z Warszawy do Łowicza, parochodem w sposób powyższy urządzonym. Słyszeliśmy, że próba ta dała dobre wypadki. Wkrótce więc passażerowie drogi żelaznéj warszawsko-wiedeńskiéj ochronieni będą w ciągu jazdy i w czasie postojów na stacyach, od dokuczliwych dymów z komina parochodu wychodzących.

## KORRESPONDENCYA OD REDAKCYI.

*Panu Edw. M w Warszawie.* Życzeniu pańskiemu, o ile na to pozwolą niezależne od nas okoliczności, będziemy się starali zadosyć uczynić.

*Panom* w Tudorowie i Szt. w Płocku.* Ultra potestatem nemo obligatur.

*Panu J. W. w Petersburgu.* Żałujemy najmocniéj, że dwóch nadesłanych *przecudnych!!!* poezyj, pomimo tak kategorycznie wyrażonego życzenia, drukować nie możemy.

*Panom F. M., Bronisławowi S. i Mieczysławowi L.* Litości i jeszcze raz litości! bo rymy wasze, to łoże Prokrusta dla nieszczęśliwego redaktora.

# KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

## MUZYKA.

Siostry Ferni.—Panna Marya Moesner.— Izydor Lotto. — Panie Straganiarki.

Skoro tylko dłuższa cokolwiek zajdzie przerwa w stałych naszych sprawozdaniach muzycznych, już tak wielką liczbą faktów w dziedzinie téj sztuki dokonanych jesteśmy obarczeni, że nie wiemy co pominąć, czego się wprzód dotknąć. Więc opuściwszy jedne, o drugich pobieżnie tylko wspomniawszy, nad temi dłużéj zatrzymać się nam wypadnie, które jakiś szczególny związek ze sprawami domowemi mają, a zatém bliżéj nas obchodzić powinny.

O pobycie w naszém mieście dwóch siostr Ferni, cenionych wielce za granicą wirtuozek na skrzypcach, pisma nasze obojętnie dosyć wspominały, i temu dziwić się nie będziemy; gdyż zaledwie muzykalna kampania w celu przysporzenia funduszów na rzecz instytutu muzycznego w cyrku się skończyła, panny Ferni natychmiast rozpoczęły w Wielkim teatrze szereg koncertów, które w owéj chwili ogólnego muzyką przesycenia, niewiele pomiędzy publicznością zajęcia wzbudzić mogły. Więc pomimo rozgłosu jaki sobie niezaprzeczonym talentem w Europie wyrobiły, panny Ferni grały przed pustemi ławkami. Kto na tém stracił? zapewne nie publiczność.

Panny Ferni niezawodnie lepszego doznałyby u nas powodzenia, gdyby w innéj porze przyjechały. To samo można powiedzieć mniéj więcéj o pannie Moesner, harfistce zadziwiającéj, która również, z powodów wyżéj przytoczonych, pomimo nadzwyczajnego wrażenia jakie grą swoją na słuchaczach podczas piątego symfonicznego wieczoru w resursie kupieckiéj sprawiła, przecież na koncercie ogłoszonym przez siebie w salach redutowych dnia 17 z. m. niezbyt licznych miała słuchaczów.

Mówić o grze panny Maryi Moesner, wykazując potęgę jéj mechanizmu, podziwiając niesłychane zalety elegancyi, siły i uczucia artystycznego, niełatwo. Jest to wirtuozka skończona, umiejąca swym ubogim stosunkowo instrumentem, zdumiewać i zachwycać. Ale wpośród istotnéj powodzi arpedżiów, biegników, gamm tercyowych, sekstowych i decymowych, śpiew szlachetny, pełen wyższéj artystycznéj deklamacyi, czy to w naturalném brzmieniu strun, czy w fladżioletach, wychodzi tak jasny i tak wytworny, że doprawdy słuchając go, trudno uwierzyć, ażeby harfa wydać go była w stanie, i to właśnie jest najpiękniejszą, lubo nie jedyną zaletą gry panny Moesner.

Oddawszy piérwszeństwo domom, jak na grzecznego współpracownika niniejszego pisma przystało, zwrócimy teraz uwagę czytelników na drugą, brzydszą połowę rodzaju ludzkiego, ażeby przejrzéć jéj zasługi w upłynionych trzech tygodniach dla sprawy muzycznéj położone.

W obecnéj chwili o jednym tylko artyście mówić będziemy, to jest o Izydorze Lotto. Skrzypek ten, obdarzony od natury nadzwyczajnym talentem, urodził się w Warszawie i tutaj piérwsze początki muzyki, z razu od ojca swego, następnie od innych nauczycieli pobierał. Niesłychane i zdumiewające postępy w grze skrzypcowéj, jakie w krótkim czasie, będąc jeszcze dzieckiem, okazywał, zwróciły na niego uwagę kilku możnych ludzi, którzy wziąwszy go pod swoję opiekę, wysłali dla dalszego kształcenia do Paryża, powierzając chłopca w ręce Massarta, znakomitego tamże na skrzypcach nauczyciela. W lat parę Lotto otrzymał piérwszą nagrodę w paryzkiém konserwatoryum. Przybywszy następnie do miasta rodzinnego, w kilku urządzonych przez siebie koncertach zadziwił współziomków grą swoją nad wiek dojrzałą. Daleki jednakże od myśli poprzestania na tém co już umiał, powrócił do Paryża, a po trzech latach usilnéj i niezmordowanéj pracy, wezwany do przyjęcia współudziału podczas trzeciéj uroczystości muzycznéj na rzecz instytutu (o czém wspominaliśmy już w swoim czasie), wystąpiwszy z dwiema własnego utworu kompozycyami, świetném i pełném smaku wykonaniem zadziwił słuchaczy. Zapewne iż wzorem koncertowego wirtuoza Lotto jeszcze nie jest, ani go téż za takowy przedstawiamy; zawód swój dopiero rozpoczyna, więc z czasem zmężnieje, stanie się doświadczeńszym, bieglejszym w opanowaniu techniki i zastosowaniu jéj do idealnych wymagań sztuki; lecz to co już dzisiaj dostrzedz się w nim daje, jest rękojmią świetnéj niezawodnie przyszłości. Wykonany przez niego w dniu 20 z. m. koncert Mendelsohna, tudzież fantazya z Otella Ernsta, nic nie pozostawia do życzenia; w piérwszym z tych ustępów dodał własnego pomysłu kadencyą, dowodzącą głębokiéj rozwagi w pomyśle i zręczności w przeprowadzeniu; więc i w kompozycyi z czasem wyrobić sobie może niepoślednie stanowisko, o czém walc koncertowy, zręcznie i dobrze, chociaż na efekt skrzypcowy skreślony, tudzież allegro, odegrane na trzeciéj uroczystości muzycznéj, przekonywają.

W teatrze jednę tylko nowość mamy do zanotowania, to jest operetkę Offenbacha pod tytułem *Panie Straganiarki* (Mesdames de la Halle), wystawioną dnia 22 z. m. Jak wszystkie znane dotąd na naszéj

scenie tego kompozytora prace, zaleca się ona lekką i miłą muzyczką; treść, zręcznie zastosowana do miejscowości, podobać się może tym mianowicie, którzy lubią niekiedy rozerwać się widokiem targowego gwaru, dla których charakterystyka owéj warstwy społeczeństwa, pędzącéj życie wpośród straganów wielkiego miasta, może miéć jakieś powaby. Jeżeli w najznakomitszych nawet galeryach obrazów, obok klassycznych arcydzieł mistrzów sztuki malarskiéj, znajduje się dosyć miejsca na pomieszczenie utworów drobnych, rodzajowych, czemużby scena nie miała ich również tolerować?

O wykonaniu téj operetki powiemy tylko, że artyści podczas piérwszego jéj wystawienia grali w ogóle dobrze, lecz że drugie mniéj było udatne. Sufler wrzeszczał co miał siły, role w części pozapominano. Zdaje się że dobra pamięć pomiędzy naszemi artystami jest rzeczą niezmiernie rzadką i niezbyt cenioną, gdy tak wszyscy, z małemi bardzo wyjątkami, na pomoc suflerów się spuszczają. Czyliby nie udało się wynaleźć jakiego lekarstwa na tę chroniczną chorobę, tak silnie grasującą oddawna na naszéj scenie?

---

## KOŚCIÓŁ PARAFIALNY W BĘDKOWIE.

Jeżeli kiedy, szanowny czytelniku, zechcesz lub będziesz miał potrzebę zboczyć od stacyi Rokiciny przy kolei żelaznéj warszawsko-wiedeńskiéj, znajdziesz o 7 wiorst ztamtąd odległe miasteczko Będków, do powiatu rawskiego należące, o którém ani starożytna Polska Balińskiego i Lipińskiego, ani żadne inne starożytności i geografie nie wspominają. Bo téż biédna to i mała mieścina, z 62 drewnianych domków złożona, a liczy zaledwie 600 mieszkańców, w równéj połowie chrześcian i starozakonnych. Zresztą tak jak autorowie opisów kraju, tak i dawniejsza historya zupełne o niém dotąd zachowała milczenie. Z akt tylko archiwalnych dowiedzieć się można, że w XV wieku było dziedzictwem znakomitéj w łęczyckiéj i sieradzkiéj ziemi rodziny Wspinków czyli Spinków, herbu Pruss, którzy ztąd Spinkami z Będkowa się pisali, w r. 1462 wieś na miasto zamienili i aż do końca XVII wieku byli jego właścicielami. Otóż na początku drugiéj połowy XV stulecia trzej bracia Spinkowie: Piotr dziekan kielecki, kanonik gnieźnieński i poznański, ten sam, który w r. 1458 podpisał dekret króla Kaźmirza Jagiellończyka o klątwach, oraz Franciszek wojski sieradzki i Mikołaj podobnyż urząd w Łęczyckiém sprawujący, zostawili piękną po sobie pamiątkę wybudowaniem kościoła w Będkowie, którego wizerunek tu na drzeworycie przedstawiamy, a który na zewnątrz mało przerabiany, dochował w całém znaczeniu pierwotne znamię budownictwa owych czasów. Jest to gmach w stylu gotyckim spolszczonym, w jakim zwykle celniejsze kościoły polskie stawiano, ze szczytami zębatemi, małych wprawdzie wymiarów, ale pięknie i z wielkim smakiem wykonany. Zdaje się że niektóre jego części, jak na przykład boczne kaplice, nie musiały być pierwotnie wykończone, a wieża z kopułą miedzią pokrytą niezaprzeczenie jest przynajmniéj o jeden wiek późniejszą. Pod względem budownictwa kościół ten ma dwie osobliwości, które go od innych różnią. Piérwszą jest że część kapłańska zakończona trzema ścianami, z których środkowa, znacznie od szerokości téjże części węższa, zębatym kończy się szczytem. Plan taki wymagał odmiennego związania dachu i mniéj téż kształtną onemu nadaje postać. Drugą osobliwością architektoniczną w tym kościele jest śrubowate żłobkowanie pilastrów wypukłych, które zęby ścian szczytowych w części kapłańskiéj zdobią. Tych budowniczych osobliwości w żadnym dawnym kościele polskim spotkać nie można. Na południowéj ścianie kaplicy, po prawéj stronie położonéj, znajduje się zewnątrz umieszczona tablica erekcyjna z ciosowego kamienia, mająca u góry trzy herby, to jest Habdank, Pruss i Jastrzębiec, a pod niemi wypukłemi gotyckiemi głoskami wyryty następny łaciński napis, ułożony w skróconym sposobie: *Anno Domini millesimo CCCCLXII hoc opus et oppidum est fundatum per dominos: Petrum Wspinek Decanum Kielcensem, Gnesnensem et Posnaniensem Canonicum, et Franciscum et Nicolaum haeredes in Banthkowo tempore ejus.* Co znaczy: roku Pańskiego 1462 budowla ta i miasteczko założone zostały przez panów Piotra Wspinka dziekana kieleckiego, kanonika gnieznieńskiego i poznańskiego, tudzież Franciszka i Mikołaja, w owym czasie dziedziców Będkowa. Ostatnie ośm głosek napisu, które się na tablicy powyższéj nie pomieściły, wydłutowane są na dodatkowym kamieniu, z boku téjże kaplicy u dołu wmurowanym. Wejście do kościoła od strony wieży przez kruchtę, przyozdobione jest nader pięknemi oddrzwiami z ciosowego kamienia, nad któremi też same trzy herby są umieszczone co i na tablicy. Oddrzwia te, misternéj roboty, gustem swym przypominają podobne w współczesnym kościele we wsi Szańcu, w gubernii radomskiéj, w pow. stobnickim, należące do najwytworniejszych wyrobów kamieniarskich jakie mamy w Polsce. Zresztą kościół będkowski wewnątrz niéma już teraz żadnych zabytków ze swéj starożytności, a nawet w porównaniu z tak piękną jego powierzchownością bardzo biédnie wygląda. Wszystkie ołtarze i obrazy są z nowszych czasów, a niczém nietylko pod względem sztuki się nie odznaczają, ale owszem miernotą swoją przykre w tak ozdobnym gmachu sprawiają wrażenie. Sklepienie także oddawna na nim runęło i zastąpione zostało dzisiaj wypukło z desek ułożoną podsiebitką. Niegdyś, jak to z dawnych wizyt kościoła doczytać się można, były tutaj liczne marmurowe nagrobki całéj możnéj rodziny Spinków. Z tych jeden przechował się jeszcze chociaż w części, a pochodzić się zdaje z drugiéj połowy XVII stulecia. Jestto kamienna tablica umieszczona u progu przedsionka, napisu jednak na niéj wyczytać już nie można, z powodu zatarcia liter. Ciała atoli tychże Spinków spoczywają dotąd w murowanych pod kościołem grobach. Dzwonnica obok niego stojąca i obmurowanie cmentarza, jest dziełem daleko późniejszych czasów. Po innych właścicielach Będkowa nie zostało tu żadnego śladu, chociaż wiadomo że od Spinków przechodziło miasto na różne imiona. W nowszych czasach dziedziczyli je Gliszczyńscy, Dembowscy i Bielińscy, których to ostatnich spadkobiercy, w drodze działów niedawno cały majątek sprzedali.

KOŚCIÓŁ PARAFIALNY W BĘDKOWIE.

---

### Zadanie konikowe do nagrody.

| | | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|---|---|
| z | l | e | o | j | p | s | o |
| t | p | e | o | m | r | e | z |
| e | s | i | d | s | y | z | t |
| o | ż | i | a | y | k | s | s |
| w | w | r | ą | g | t | z | o |
| a | z | k | s | i | e | e | w |
| a | r | r | u | r | i | b | c |
| d | w | p | e | a | t | z | p |

W zadaniu tém zgłoski zastępują pojedyncze litery, których w całéj szaradzie jest tylko 64, a które naturalnie nie tak łatwo naprowadzają na sens, przez co rozwiązanie o wiele jest utrudnioném

Piérwsze trzy rozwiązania z Warszawy i piérwsze trzy z prowincyi, otrzymają nagrody w książkach wartości rs. 5, 4 i 3. Szarada powinna być bez błędu wypisaną i odgadniętą, a listy frankowane.

---

### REBUS.

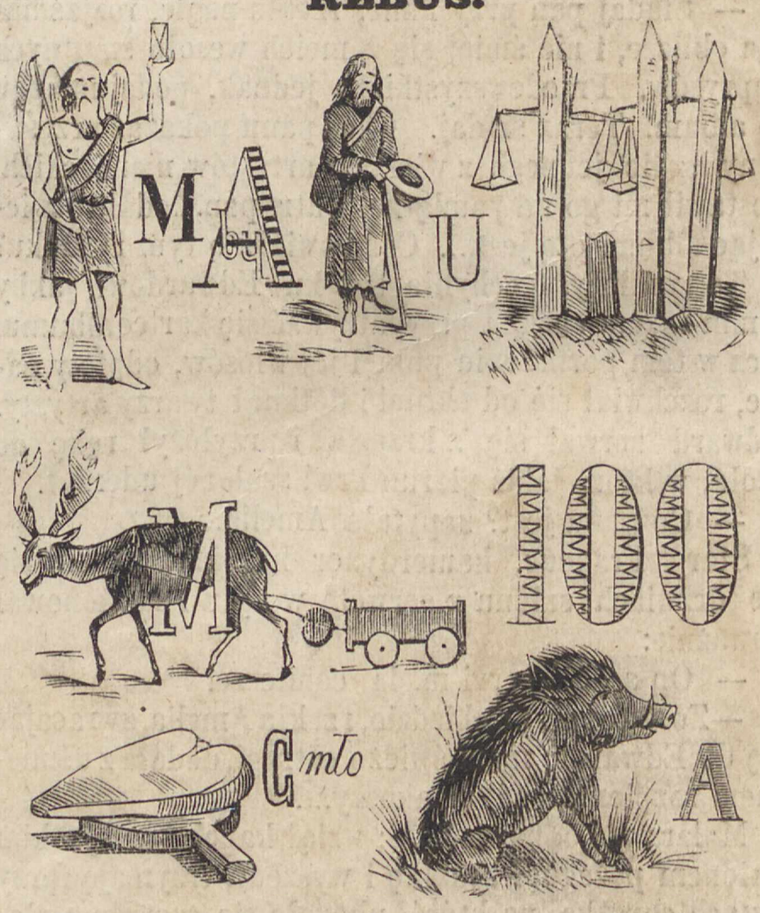


Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 36.

*Kopernik drugim być nie może, bo piérwszego takiego świat jeszcze nie miał.*

---

Rozwiązanie zadania szachowego Ner 27.

| *Białe.* | *Czarne.* |
|---|---|
| 1) F 3 — D 3 . . . . | 1) C 4 — D 3 bierze |
| 2) F 6 — D 7 † . . . | 2) C 5 — D 5 |
| 3) E 2 — E 4 † . . . | 3) D 5 — E 6 |
| 4) F 7 — F 8 (koń) † i mat. | |

Gdyby czarne w piérwszém posunięciu nie biły wieży, wtedy koń F6 — E4 lub D7 i mat. Jeżeliby zaś biły konia, to pieszek F7—F8 (laufer) i mat.

W Drukarni J. Ungra.— Wolno drukować.—Warszawa dnia 28 maja (9 czerwca) 1860 r.— Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*

**Redakcya przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391 w domu PP. Wizytek.**